

NATHALIE K. FLOWER

Bohaterowie,
których raz kochasz,
a raz nienawidzisz.

A woman with long, wavy red hair is sitting in a lush green forest. She is wearing a white, off-the-shoulder, floral-patterned dress. She is looking down at her hands, which are resting on a plant. The background is a soft-focus forest with sunlight filtering through the trees. The title is written in a large, stylized, red, cursive font at the bottom of the image.

*Noc,
która zmieniła
wszystko*

NATHALIE
K.FLOWER

*Noc,
która zmieniła
wszystko*

Mojemu mężowi

Przed nocą, która zmieniła wszystko

Przeciągnąłem się leniwie i spojrzałem na zegarek. Docho-
dziła dziewiąta. Jak dobrze, że dzisiaj sobota. Ten tydzień był
wyczerpujący. Udało nam się wreszcie rozliczyć duży przetarg,
ale jeszcze nie zeszło ze mnie ciśnienie. Z dołu dobiegały
odgłosy porannej krzątany. Alicja już wstała. Miśka też, bo
w telewizji leciała *Barbie: idealne święta*. Moja córka puszczała
ją na tyle często, że mogłem cytować tekst równo z bajką.

Dobra, czas się zwlec z łóżka, chociaż dziś w planach mia-
łem tylko leniuchowanie.

Zszedłem po schodach i przystanąłem. Patrzyłem na Ali-
cję i zastanawiałem się, gdzie popełniłem błąd. Czy ja byłem
ślepy, czy to ona tak się zmieniła? „Ona”... Coraz częściej
trudno mi ją nazwać bardziej osobowo. Nieraz słyszałem od
chłopaków z pracy, jak określają swoje żony: „moja”, „stara”.
Tylko Wojtek używał imienia, gdy mówił o swojej małżonce.

Alicja robiła śniadanie. Oczywiście sobie i Miśce, bo na
pewno nie mnie. Stałem oparty o ścianę obok kominka i lu-
strowałem sylwetkę swojej żony. Na stopach miała wielkie kap-
cie przypominające łapy Mufasy z *Króla Lwa*. Czarne legginsy
z boku były przybrudzone bitą śmietaną, bo gdy Alicja przygo-
towywała wczoraj naleśniki dla Miśki, nie użyła ściereki, żeby

wytrzeć ręce. Jedynie pupa jeszcze się nadawała do przyjemnych sesji obserwacyjnych. Tutaj nic się nie zmieniło, odkąd ją znałem. Ale gdy tylko podniosłem wzrok o kilka centymetrów, rzredła mi mina. Wylewające się ze spodni boczki odbierały wszelki apetyt. Rzadko jednak odważałem się je komentować. Szkoda strzepić języka. Taka uwaga zawsze kończyła się cichymi dniami. A przecież nie mówiłem tego w celu dogryzienia jej, tylko po to, żeby może w końcu się ogarnęła.

Zanim zaszła w ciążę, miała naprawdę interesującą figurę. Może nie proporcje modelki, bo ja też nigdy nie szukałem takiej idealnej, ale była zaokrąglona tam, gdzie powinna. W taki zwyczajny, kobiecy sposób. Teraz z tych krągłości została głównie oponka.

Spojrzałem jeszcze wyżej i czara gorzycy się przelała. Od kilku lat wszechobecny i modny był megakok na czubku głowy. W wydaniu mojej małżonki – czarny jak smoła. Dawniej tego typu fryzura kojarzyła mi się z ułożonymi sześćdziesiątkami z wyższych sfer, ale z takiego wymuskanego uczesania nie miał prawa wyjść poza swój szereg choćby jeden włos. Kok mojej małżonki wołał o pomstę do nieba. Wyglądał niczym zmasakrowany przez kosiarkę.

– Co tak patrzysz? – Spojrzała na mnie ze skrzywioną miną. Nie zarejestrowałem momentu, w którym się odwróciła.

Kolejny dzień czas zacząć...

Zatrzepotała wachlarzem sztucznych rzęs. Dałbym sobie rękę uciąć, że poczułem powiew wiatru, gdy mrugnęła.

– Zamyśliłem się. – Podeszedłem do lodówki i wyciągnąłem z niej jajka. – Chcesz jajecznicę? – zapytałem z grzeczności, choć doskonale znałem odpowiedź. Alła miała alergię na białko jaja kurzego. Nie zmieniało to jednak faktu, że zadanie tego pytania sprawiało mi przyjemność.

Nie odpowiedziała. A szkoda.

– Weźmiesz Borysa na spacer? – zapytała. – Zaraz rozniesie podwórko. Nikt nie był z nim od tygodnia na dłuższym spacerze.

Zaraz mnie trafi szlag. Przez cały tydzień zapieprzam jak dziki osioł, a ona nie może wyprowadzić psa?

– A dlaczego ty nie możesz iść? – odparłem z wyrzutem.

– Patrz tabliczka obok zegara.

Znałem jej treść na pamięć, a jednak spojrzałem na ręcznie zapisaną kartkę oprawioną w ramkę z Ikei.

Ja, Tomasz Lange, w pełni świadomy podejmowanych decyzji, zobowiązuje się wziąć na siebie wszystkie obowiązki związane z posiadaniem psa. Będę zwłaszcza wyprowadzał go na spacer, pilnował wizyt u weterynarza, kąpał go i kontrolował stan jego sierści. Ponadto oświadczam, że nie obarczę tymi obowiązkami mojej kochanej małżonki, dopóki zdrowie mi pozwoli.

Sygnowane moim czytelnym podpisem.

Dobra, byłem bez szans w tej dyskusji. Chciałem psa, to mam.

Zrobiłem sobie wypasioną jajecznicę z boczkiem, cebulką oraz pomidorami i zgarnąłem talerz do salonu. Posadziłem małą na kolana i spróbowałem ją nakarmić częścią swojego śniadania.

– Chcesz trochę?

– Ble, nie lubię cebuli. – Skrzywiła się.

– Przyniesiesz jakieś zabawki, to się razem później pobawimy.

Zeskoczyła zadowolona z moich kolan. Ta jedna kruszyna trzymała mnie jeszcze w tym domu. Wyciągnęła z naszych genów wszystko, co najlepsze. Wiele rzeczy mogłem zarzucić Alicji, ale na pewno nie to, że była złą matką. W innym

wypadku już dawno zabrałbym stąd córkę i rozszedł się z żoną. Wiązałoby się to jednak wyłącznie z wyrządzeniem krzywdy dziecku. Nie wyobrażałem sobie roli dochodzącego ojca, dlatego tkwiłem w tym beznadziejnym związku. I tak poświęcałem córce stanowczo za mało czasu. W tygodniu siedziałem w biurze do późnego popołudnia albo wieczora. Gdy wychodziłem rano z domu, przeważnie jeszcze spała. Moje kontakty z nią ograniczały się właściwie do usypiania jej. Dlatego starałem się to nadrobić w weekendy.

Gdy zjadłem, pomaszerowałem do łazienki odprowadzany morderczym spojrzeniem mojej żony. O co znowu chodziło? Podążyłem za jej wzrokiem i spojrzałem na zostawiony w salonie talerz po jajecznicę. Serio? Skoro ja miałem iść z psem, niech ona posprząta. Zerknąłem na blat w kuchni. No dobra, jeszcze tam trzeba trochę ogarnąć. Nasze życie ostatnio składało się z samych tego rodzaju uszczypliwości. Nawet mnie nie ruszyło, gdy wchodząc do łazienki, usłyszałem za sobą ciche przekleństwo.

Pobawiłem się przez chwilę z Miśką jej nowym domkiem dla lalek. Nasza zabawa jednak stanowczo nie przypominała takiej w wykonaniu zwyczajnych czterolatek. Nie bawiliśmy się w dom, tylko w remont. Ku mojej wielkiej ucieście mała naprawdę to lubiła.

Ala była na drugim roku studiów, gdy zaszła w ciążę. Ja miałem dwadzieścia sześć lat. Skończyłem budownictwo. Wstrzeliłem się w świetny okres, jeśli chodzi o dotacje unijne. Założyłem własną firmę i z pomocą wujka pracującego w podobnej branży wziąłem udział w pierwszym przetargu na roboty budowlane. I dalej jakoś poszło. Początkowo przyjmowałem małe zlecenia, ale z czasem zatrudniałem coraz więcej osób. Teraz realizowaliśmy kompleksowe roboty

wykończeniowe domów, a czasem nawet większych obiektów, jak szkoły czy hale wystawowe.

Moja żona postanowiła zawiesić studia. Najpierw wzięła dziekanę na rok, ale potem zrezygnowała całkowicie. Stwierdziła, że nie jest do końca zadowolona z wyboru kierunku i gdyby miała wrócić, na pewno nie na ten sam. Wzięliśmy ślub, gdy była w czwartym miesiącu ciąży. Rodzice się uparli. No bo jak to tak? Nieślubne dziecko? Wtedy jeszcze mi się wydawało, że będziemy dobrym małżeństwem.

Borysa trzymaliśmy w domu, ale gdy tylko przychodziła wiosna, pierwsze, co musieliśmy zrobić każdego ranka, to wypuścić go na podwórko. Spędzał tam niemal całe dnie, nie zmieniało to jednak faktu, że uwielbiał długie spacery – na które niestety brakowało mi czasu. Dlatego gdy wyszedłem na zewnątrz ze smyczą w ręce, dosłownie się na mnie rzucił. Zaśmiałem się na widok jego radości. W tym domu poza Miśką jeszcze tylko on się cieszył z mojej obecności. W sumie nawet dobrze, że się trochę przewietrzę. Dawno nie wychodziłem na spacer. Był wrzesień i panowała typowa dla tego miesiąca aura: trochę chmur, trochę słońca, wiał delikatny wiatr.

Ruszyłem w stronę widnickiego lasu. Jeśli pozwalał na to czas, chodziłem tam z Borysem na dłuższe wycieczki. Las był spory, a spacerujących – niewielu, szczególnie w miejscach, w które się zapuszczałem.

Przed linią drzew zastałem zaparkowane cztery auta, co oznaczało wizytę grzybiarzy. Większość z nich kierowała się do wschodniej części, słynącej z dużej liczby mało szlachetnych opieniek. Podobno to smaczne grzyby, choć niecieszące się zbytnią popularnością. Ja wybrałem drugą część lasu, tę, w której bardziej prawdopodobne było spotkanie sarny niż człowieka.

Spacerowałem już od dobrej godziny zatopiony w myślach, kiedy między drzewami, blisko poszycia zarejestrowałem ruch. Borys jeszcze nic nie dostrzegł, bo obwąchiwał pień buka obok nas. Co jak co, ale widoku przede mną nie dało się uznać za codzienny.

Jakieś trzydzieści metrów dalej majaczyła rudowłosa kobieta, może jeszcze dziewczyna. Byłem za daleko, by określić jej wiek. Miała fioletowe kalosze w czarne plamy, czarne legginsy i zielony płaszczek przeciwdeszczowy. Stała na jednej nodze, wystawiając ręce na boki, aby utrzymać równowagę. Pewnie zwolenniczka jogi. Nienaturalnie wyginała szyję do tyłu, jakby chciała zobaczyć, co ma za plecami. Czy nie mogła po prostu się obrócić? W końcu bardzo ostrożnie opuściła stopę na ściółkę, ale dotknęła jej tylko czubkiem buta.

Na jej twarz wypłynął szeroki uśmiech. Przykucnęła powoli i sięgnęła po coś. Teraz zrozumiałem. Podniosła dużego grzyba, starannie go obrała i włożyła do wiklinowego koszyka. Za chwilę zebrała następnego i następnego. Trafiła na centrum wysypu, dlatego starała się stąpać delikatnie, żeby niczego nie podeptać. Minęła długa chwila, zanim znowu się podniosła, zrobiła krok w stylu bociana i kucnęła, żeby zebrać kolejne grzyby.

Patrzyłem na te jej wygibasy i gdyby nie Borys, który usłyszał szelest i z głośnym ujadaniem ruszył w stronę nieznajomej, tkwiłbym tak dalej. Kobieta stała na jednej nodze, w lewej ręce trzymała koszyk, drugą manewrowała dla równowagi i obserwowała pospolite ruszenie mojego psa. To nie mogło się skończyć dobrze. Wystraszona, zrobiła dwa kroki do tyłu. Ścisnąłem mocno smycz, żeby Borys mi się nie wyrwał. Biedna niewiasta chyba właśnie przeżywała stan przedzawałowy. I wcale nie chodziło o szarpiącego się w jej stronę owczarka

niemieckiego, tylko o upuszczony koszyk, wysypane z niego grzyby i podeptane te, których nie zdążyła zebrać.

– Bardzo przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. Borys panią zobaczył i się zerwał.

– W ogóle was nie słyszałam. Nic się nie stało.

Przykucnęła, żeby uratować to, co się jeszcze do czegoś nadawało.

– Pomogę pani.

– Naprawdę nie trzeba. Pies podepcze jeszcze więcej. Właśnie trafiłam w miejsce nazywane snem grzybiarza. – Uśmiechnęła się promiennie. – Proszę nikomu nie mówić, że mamy tutaj wysyp zajączków.

Spojrzałem na nią, udając zdziwienie.

– Dałbym sobie rękę uciąć, że zbierała pani grzyby, a nie dzikie zwierzęta.

– Podgrzybki zajączki – odpowiedziała z uśmiechem, zobaczywszy moją minę. – Tak się nazywają te grzyby. – Podniosła jednego na wysokość swoich oczu.

– Aha, rozumiem – powiedziałem również z uśmiechem.

– Pan sobie ze mnie żartuje?

– Żart akurat sam się wpasował. Pójdę już. Do widzenia.

Ruszyłem w drogę powrotną, mając przez dłuższą chwilę uśmiech wielkości banana i odtwarzając w głowie tę abstrakcyjną scenę.

Po nocy, która zmieniła wszystko

Siedziałem na łóżku, zastanawiając się, co zrobić. Czy to się mogło udać? Najgorsze, że gdybym miał dać nam jeszcze szansę, musiałbym to zrobić nie do końca zgodnie ze swoim sumieniem. Nie byłem w stanie wykrzesać z siebie siły ani ochoty, żeby się postarać.

Jeszcze raz spojrzałem na kartkę, której tekst czytałem codziennie od dwóch tygodni. Do tej pory nie udało mi się wykonać nic z tego, co miałem tu zapisane. Ale jeśli nie spróbuję, nigdy się nie dowiem. Przeczytałem pierwszy punkt z listy.

Zacznij od małych rzeczy, na przykład od całusa w policzek na dzień dobry.

To, co wydaje się takie proste w teorii, w praktyce wygląda inaczej. Zastanawiałem się, jak to rozegrać. Podejść, przytulić ją, powiedzieć „dzień dobry, kochanie” i wtedy ją pocałować? Nie, to nie przejdzie. Skończę ze śliwą pod okiem. Dobra, im dłużej będę zwlekał, tym gorzej.

W garderobie włożyłem spodnie dresowe oraz T-shirt.

Zszedłem na parter. Serce waliło mi tak, jakbym zamierzał podejść do królowny Fiony, a to tylko Alicja, na dodatek wcale nie w Krainie Czarów. *Tylko nie patrz na te boczki, tylko nie patrz na boczki* – powtarzałem w głowie. Wiedziałem, że gdy na nie spojrzę, stracę motywację. Gdybym miał komuś wytłumaczyć, czym jest odwaga, powiedziałbym, że to właśnie to, co planowałem zrobić za kilka sekund.

Alicja stała do mnie tyłem i parzyła kawę. Spojrzałem na jej biodra. *Nie myśl o tym, nie myśl o tym* – powtarzałem w głowie, wyobrażając sobie ten tłuszcz pod palcami. Przetłamałem się i położyłem na nim dłonie. Zrobiłem to! Zanim zdążyła zareagować, pochyliłem się i złożyłem na jej policzku całus.

– Dzień dobry – powiedziałem, a raczej zazgrzytałem niczym zardzewiała huśtawka.

No i zaczął się cyrk...

Alicja odskoczyła, jakby moje ręce były kawałkami rozżarzonego węgla. Popatrzyła na mnie tak, jakbym ją przed chwilą opluł, a nie pocałował, i wytarła policzek z obrzydzeniem. Poczułem się jak obleśna ropucha, a nie jej mąż.

– Ty sobie chyba, kurwa, żartujesz – wycedziła przez zęby, akcentując przekleństwo w taki sposób, że nawet Chińczyk nie popełniłby błędu przy próbie powtórzenia tego słowa.

– Chciałem się po prostu przywitać – stwierdziłem, choć doskonale zdawałem sobie sprawę, jaka może być reakcja.

Alicja upewniła się, że starła z twarzy wszelkie ślady naszego fizycznego kontaktu.

– Nie wiem, na co liczysz i o co ci chodzi, ale skończ to, zanim na dobre zacząłeś – rzekła z pogardą. – Nie zbliżaj się do mnie.

Odwróciła się w stronę ekspresu i kontynuowała to, co jej przerwałem.

Poszedłem do łazienki. No cóż. Nikt nie mówił, że będzie łatwo.

Tego dnia nie odważyłem się już na kolejny gest, który miał nas do siebie z powrotem zbliżyć. Co to, to nie. Aż taki odważny nie byłem.

Przed nocą, która zmieniła wszystko

Gdy wszedłem do domu, moja mama zabierała Miškę do parku. Usłyszałem dźwięk odkurzacza. Pokonałem ślalomem trasę między poprzestawianymi krzesłami i stołem, żeby się dostać do lodówki. Uśmiechnąłem się do mojego czteropaka. Wziąłem piwo i usiadłem na kanapie. Moja mama wzięła Miškę na spacer do parku.

Włączyłem kanał sportowy i... dźwięk odkurzacza skutecznie zagłuszył komentatora. Spojrzałem na Alicję. Jej chytry uśmieszek mówił wszystko. Zemsta za niewyniesiony talerz po jajecznicy. Rozumiałem wszystko, ale żeby być aż tak złośliwym? *O nie* – pomyślałem – *wytrzymam, nie zacznę kłótni*. Alicja z namaszczeniem odkurzała dywan, omijając moje stopy. Nie ruszę ich, choćby nie wiem co. Nie spuściłem z niej wzroku ani na chwilę. Niech sobie nie myśli, że wywoła we mnie poczucie winy. Otworzyłem z premedytacją puszkę, ale w tym pieprzonym hałasie nie byłem w stanie usłyszeć przyjemnego „psst”. Rosło mi ciśnienie. Nadal zajmowała się tym małym dywanem. Jego wymiary to ledwie siedemdziesiąt na sto dwadzieścia centymetrów, ale nie, musi być dokładnie. Czwarty raz to samo miejsce. Dobra, przestawię stopy, może wtedy odpuści. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się z fałszywą

wdzięcznością. Wzrok jednak miała przesyciony trucizną. *O ty jędzo* – pomyślałem. *Odkurzaj, aż ci się spali odkurzaczu. Bylebys skończyła, zanim przyjdą kumple.*

Po siódmej rundzie nie wytrzymałem. Wstałem i wyciągnąłem wtyczkę z gniazdka. Nastąpiła upragniona cisza. Ala spojrzała na mnie pytająco, trzepocząc tymi swoimi rzęsami niczym służba pawimi piórami w *Asteriksie i Obeliksie*.

– Długo jeszcze będziesz odkurzała ten dywanik? – Specjalnie podkreśliłem ostatnie słowo.

Patrzyła na mnie, niby analizując moje pytanie.

– Ten? – zapytała jak gdyby nigdy nic.

A mamy tu, kurwa, jakiś inny? – pomyślałem wzburzony. Gdybym połknął jajko w całości, to za trzy minuty byłoby na miękko, tak się zagotowałem od środka.

– Tak, ten – odpowiedziałem, podobnie jak ona odpowiednio dawkując ilość cukru w odpowiedzi. Łyzeczka stanęłaby w szklance herbaty na sztorc.

– Ach, wybaczone. – Przejechała dłonią po nieszczęsnym dywanie, a ja byłem gotowy spalić go w kominku. – Kiedy jadłeś jajecznicę rano, spadły ci okruchy z chleba i się powbijały.

Teraz to się przebrała miarka...

Wyrwałem jej z dłoni rurę od odkurzacza i odrzuciłem na bok. W sekundę znalazłem się na Alicji.

– O nie – powiedziałem. – Tak nie będziemy pogrywać.

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Domyślała się, że jej nie stłukę, bo akurat w takie akcje się nie bawiłem. Mogliśmy się nie znosić, ale były jakieś granice.

Zacisnęła zęby, wsunęła między nas pięści i spróbowała mnie z siebie zrzucić. Jako że była raczej filigranowa, nie miała ze mną szans. Nie wiem, w którym momencie to się stało, ale mój penis stwardniał przyciśnięty do jej uda. Podnieciłem się

jak cholera. Ona też to poczuła, bo jej wytrzeszczone oczy wyrażały nieme pytanie: „co, do diabła?”. Ostatnio tego typu gra wstępna zdarzyła nam się przed ślubem, dlatego wcale się nie zdziwiłem, że była zaskoczona. Powiem więcej – zaskoczyłem samego siebie. Byliśmy kiepskim małżeństwem, ale nie żyliśmy w całkowitym celibacie. Seks w naszym przypadku stanowił następstwo zwykłego ludzkiego popędu, służył fizycznemu zaspokojeniu. I nic więcej.

Sytuacja była beznadziejna: miałem ochotę bzyknąć swoją żonę, a prawdopodobieństwo, że wcześniej ona odgryzie mi penisa, było sto razy większe niż szansa, że wpuści mnie do swojej dziurki. Ale kto nie ryzykuje, ten nie pije шамpana. Skoro już się napaliłem, a wyjątkowo miałem ją tak blisko siebie, grzech nie skorzystać.

Wpiłem się w jej usta tak gwałtownie, że nie zdążyła nabrać powietrza. Przewidziałem atak i złapałem jej pięści, nim zaczęła mnie nimi okładać, po czym rozłożyłem jej ręce na boki. Przyłgąłem do niej całym ciałem. Jakież było moje zdziwienie, gdy po paru sekundach przestała się opierać. Tarzaliśmy się po podłodze niczym napalone nastolatki.

Podciągnąłem jej bluzkę, żeby dostać się do drobnych piersi. Aż stęknęła, gdy je ścisnąłem. Podjarało mnie to jeszcze mocniej. Zdarłem z niej legginsy razem z majtkami. Pomogła mi się ich pozbyć, gdy odpinałem swój pasek i spodnie. Zsunąłem je tylko trochę razem z bokserkami. Złapałem moją żonkę za boki i obróciłem. Zmusiłem ją, żeby oparła się o kanapę. Posłusznie rozchyliła nogi. Wbiłem się w nią jednym ruchem. O, jak dobrze... Ona też stęknęła, więc chyba jej się podobało. Ruszyłem w galop. Miałem ochotę jak najprędzej przynieść ulgę swoim obolałym jądom. Ugniatałem jej słodki tyłeczek, który teraz seksownie wypinała. Ten tyłeczek akurat lubiłem.

Uderzałem o nią tak, że po domu niosło się echo. Czułem, że zbliża się finał. Już nie pamiętam, kiedy przydarzył nam się numerek w takim wydaniu, więc wiedziałem, że koniec będzie spektakularny. O tak! Jeszcze kilka ostrych pchnięć i jest! Wystrzeliłem w nią z takim impetem, że aż mną zatrzęsło. I jeszcze raz, i jeszcze. Przed momentem słyszałem jej stęknięcia, a teraz ucichła i beznamietnie patrzyła na poduszki przed sobą. Chyba nie doszła. No cóż.

Klepnąłem ją w pośladek, nachyliłem się nad jej uchem i szepnąłem:

– Fajnie było. Chyba zacznę częściej kruszyć w salonie.

Zacząła się miotać jak wyciągnięta z wody szprotka.

Wstałem i naciągnąłem z powrotem bokserki i spodnie. Wiem, że tym tekstem zaprzepaściłem szansę na kolejne takie bzykanko, ale trudno.

Zastanawiałem się, dlaczego byłem aż tak nakręcony. Pojawiła mi się przed oczami ruda stojąca na jednej nodze w środku lasu. Szybko pozbyłem się tego wyobrażenia. Przecież nawet mi się szczególnie nie podobała.

W niedzielę wstałem, jeszcze zanim obudziły się dziewczyny. Trochę to dziwne, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że siedzieliśmy z chłopakami do drugiej w nocy. Chyba nawet byłem na lekkim kacu.

Wypiłem pół kartonu mleka prosto z lodówki. Zjadłem szybkie śniadanie i zacząłem się ubierać.

– A ty dokąd idziesz? – zapytała zdziwiona i jeszcze trochę zaspana Alicja. Schodziła właśnie po schodach z Miską wtuloną w jej ramiona.

– Z Borysem na spacer.

Nic nie powiedziała, choć jej mina wyrażała zdziwienie. Owszem, to ja zajmowałem się psem i go wyprowadzałem, no ale żeby dwa dni z rzędu? Z własnej, nieprzymuszonej woli?

Włożyłem buty i kurtkę, przypiąłem Borysowi smycz, po czym ruszyłem w stronę lasu. Nie, wcale nie miałem nadziei na ponowne spotkanie tej leśnej istoty. No, może trochę... Dobra, zostanę tam najdłużej godzinę i jeśli nie przyjdzie, wrócę.

Zaczynałem piątą rundę po terenie, który określiłem jako strategiczny w poszukiwaniu rudej. Szacowałem, że skoro wczoraj był tu taki wysyp grzybów, nie wybierze innej części lasu. W oddali usłyszałem dźwięk łamanych gałązek. Spojrzałem w miejsce, z którego dotarł ten odgłos. Jest. To ona. Zbliżyłem się do niej najciszej, jak potrafiłem. Stałem w takiej odległości, żeby mnie nie zauważyła. Chciałem na nią popatrzeć.

Od razu zacząłem porównywać ją z Alicją. Wyglądały zupełnie inaczej. Ta miała naturalne rude włosy i twarz nietkniętą makijażem ani zabiegami kosmetycznymi. Czy lubiłem rude? W żadnym wypadku. Rude są fałszywe. Już widziałem oczami wyobraźni, jak rozwiązuje pasek tego swojego zielonego płaszczyka, rozchyła jego poły, a ja widzę wściekle czerwony napis na koszulce: „Nie jestem wredna. Jestem ruda, a kolor włosów zobowiązuje”.

Swoją drogą, czemu wszystkie ognistowłose kochają się w zielonym kolorze? Myślałem nad tym przez chwilę i wysnułem wniosek, że do tego koloru po prostu nic innego nie pasuje. Widzieliście kiedyś rudzielca w różowej koszulce? Faj!

Słońce zaczęło się przebijać przez korony drzew. Poczułem na twarzy ciepłe promienie. Ruda stanęła prosto i zadarła głowę, żeby napawać się tym porannym ciepłem. Zaczęła rozpinać

plaszczyk. W napięciu oczekiwałem na moment, aż będę mógł zobaczyć, czy się nie myliłem co do napisu na jej koszulce. Ku mojemu zdziwieniu tekst nieco się różnił od tego, który zobaczyłem przed chwilą w swojej wizji.

Jestem ruda, czynię cuda

No teraz już troszeczkę się jej obawiałem. Nawet Borys jakoś tak dziwnie się wzdrygnął, nadeptując łapą na suchą gałązkę. Cóż, detektywi byliby z nas marni.

Dziewczyna zaczęła się rozglądać.

– Dzień dobry, to znowu ja. Proszę się nie bać i nie wypuszczać koszyka – odezwałem się, zanim jej wzrok odnalazł nas między drzewami, i powoli ruszyłem w jej kierunku.

– Dzień dobry.

– Jak tam dzisiejszy zbiór zajączków?

– Udany. – Pokazała mi z uśmiechem prawie pełny kosz.

– Często tu pani przychodzi? – Próbowałem wy badać sytuację, chociaż przecież nic nie planowałem. Tak sobie jeszcze to tłumaczyłem.

– Mając na uwadze takie zbiory, pewnie będę tu przychodziła do pierwszych przymrozków.

Nie wiem dlaczego, ale bardzo mnie ucieszyła taka odpowiedź.

– A pan? Znowu pana tutaj spotykam.

– Przychodzę tu z Borysem, gdy mam więcej czasu, czyli niestety rzadko.

– Czyli jest pan z tych zabieganych ludzi dwudziestego pierwszego wieku – stwierdziła.

– A pani? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie. – Przecież w dzisiejszych czasach wszyscy się spieszą.

– Nie – odparła, patrząc na korony drzew. – Ja już się nie spieszę.

– Co w takim razie sprawiło, że przestała się pani spieszyć? – Byłem szczerze ciekawy jej odpowiedzi.

Ona jednak tylko się uśmiechnęła.

– Właściwie nie miałam na to większego wpływu. Czasami życie samo nas nakierowuje na odpowiednie tory.

– I teraz jest pani na odpowiednim torze?

Kiwnęła głową raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby się zastanawiała.

– Myślę, że mogę tak to ująć.

Cóż za abstrakcyjna odpowiedź.

– A pan? – Znowu zmieniła obiekt rozmowy. – Myśli pan, że można przestać się spieszyć? Zacząć się cieszyć z małych rzeczy, o których większość ludzi już dawno zapomniała?

Minęło raptem pięć minut, a my poruszaliśmy takie filozoficzne tematy.

– Nie wiem, wydaje mi się, że nie. – Nie wiedziałem dlaczego, ale nie myślałem teraz o pośpiechu, tylko o moich relacjach z Alicją.

– Dlaczego pan tak sądzi?

Mógłbym odpowiedzieć standardową śpiewką, że żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku i że dzisiaj nie spieszą się wyłącznie jednostki żyjące w buszu. Rzekłem jednak, mając na myśli swoją żonę:

– Nie wiem. Czasami chyba dzieją się tak złe rzeczy, że trudno już zrobić krok do tyłu i coś naprawić, zacząć od początku.

– Wie pan, czasami krok do tyłu to tak naprawdę krok naprzód.

Nie znała mojego życia, więc w sumie wcale się nie dziwiłem, że wysnuwa wnioski, które nijak się mają do rzeczywistości.

– Muszę już iść. Miłego dnia. – Wycofałem się, zanim zadała kolejne trudne pytanie.

– Do widzenia. Fajnie się rozmawiało. – Skierowała wzrok z powrotem na ściółkę, a ja powoli ruszyłem z Borysem w stronę domu.

Po nocy,
która zmieniła wszystko

Kolejny dzień stanowił kopię poprzedniego. Znow siedziałem na łóżku w sypialni i wpatrywałem się w kartkę.

Od teraz codziennie dokładaj do listy kolejny punkt. Każdego dnia powtarzaj to, co już zrobiłeś, czyli lista zadań ma rosnąć.

Nie licz na to, że żona rzuci Ci się w ramiona po pierwszej próbie. Podejrzewam, że będzie odwrotnie, ale nie poddawaj się. Nie uznawaj pierwszych porażek za przegraną.

Zrób dla niej coś miłego. To nie musi być nic spektakularnego. Wystarczy jakaś drobnostka. Ale naprawdę się postaraj.

Dzisiejsze zadanie wydawało się proste. Przecież czasami robię dla niej coś miłego, więc pewnie nawet się nie zorientuje. Próbowałem sobie przypomnieć, co takiego ostatnio dla niej zrobiłem, ale akurat nic nie wpadło mi do głowy. No dobra, czas zacząć dzień drugi.

Zszedłem na dół. Alicja już się krzątała po kuchni. Dzisiaj włożyła luźną koszulkę. Boczki szczelnie się pod nią schowały. Będzie łatwiej. Najpierw musiałem zrobić to co wczoraj. To ta trudniejsza część zadania. Mogłem na wszelki wypadek zaopatrzyć się w kask hokejowy. Wczoraj było z zaskoczenia,

dzisiaj już może się skończyć kontuzją. Podszedłem jak wtedy, tylko tym razem stanąłem z boku, żeby w razie czego uniknąć ciosu z łokcia w żebra. Pochyliłem się i nim zdążyła zareagować, pocałowałem ją błyskawicznie w policzek. Z trudem powtrzymałem się przed odskoczeniem w popłochu.

– Dzień dobry – powiedziałem, starając się uśmiechnąć. Dzisiaj chociaż nie zaskrzeczałem.

Alicja spojrzała na mnie z żądzą mordu w oczach, a efekt ten wzmocniła trzymanym w prawej ręce wielkim nożem do chleba. Czułem, że albo mnie nim zaszlachtuje, albo – w najlepszym wypadku – puści mi taką wiązanekę, że wyskoczę z kapci. Ku mojemu zdziwieniu jednak skończyło się na morderczym spojrzeniu. Odwróciła się i kontynuowała przerwana czynność. Dobra, przeżyłem. Nie jest źle. Teraz coś miłego. Zastanawiałem się, co by tu zrobić. Jajecznicza na boczku? Okej, kiepski żart. Miałem się naprawdę postarać.

Plątałem się po kuchni, myśląc. Mój wzrok zatrzymał się na ekspresie. Wiem! Zaparzę jej kawę. Rozejrzałem się dyskretnie, żeby sprawdzić, czy już sobie jej nie zrobiła, ale nie dostrzegłem żadnego kubka.

– Będę robił kawę. Chcesz też? – rzuciłem niby od niechcenia.

Powoli odwróciła się w moją stronę i spojrzała na mnie jak na wariata.

– Słucham? – Chyba faktycznie nie wierzyła w to, co usłyszała, więc powtórzyłem. Usiłowałem przy tym brzmieć tak samo jak przed chwilą.

– Będę robił kawę. Chcesz też?

Wyglądała, jakby analizowała to pytanie. Chryste, przecież zaproponowałem kawę, a nie lot w kosmos.

– A ty umiesz obsługiwać nasz ekspres? – zapytała najzupełniej poważnie.

– Przecież to tylko ekspres, a nie prom kosmiczny.

– No dobrze, skoro uważasz, że sobie poradzisz, poproszę podwójną dużą latte z dodatkową porcją mleka. – Dla lepszego efektu zamrugła tym sztucznym czymś. Oj, nie ułatwiała mi zadania. Ale jeszcze nie wiedziała, na co mnie stać.

No to zaczynamy. Yyyy...

– Powiedz jeszcze raz: jaką mam ci zrobić?

Próbowała się nie zaśmiać. Udało jej się opanować i odpowiedziała z powagą. Na wszelki wypadek zapisałem jej słowa na karteczce. Spojrzałem na urządzenie i w stresie zastanowiłem się, od czego zacząć. Filiżanka, no przecież w czymś muszę jej tę kawę podać. Wybrałem najładniejszą, jaką mieliśmy. Czułem dumę. Alicja umościła się jak królowa na kanapie i śledziła moje poczynania. Niech sobie patrzy. Zrobię jej taką kawę, że zapamięta ją na resztę życia. No dobra, skup się, Tomek.

Spojrzałem na ekspres, żeby ustawić odpowiednią opcję, ale napotkałem pierwszą trudność. Nigdzie nie znalazłem napisu „latte” ani tym bardziej „podwójna” – już nie wspominam o „duża”, chociażby po angielsku. Były tylko obrazki. Udało mi się rozszyfrować oznaczenia filiżanki pełnej w połowie i w całości. Okej, znalazłem w takim razie opcję małej i dużej. Liczba przycisków do wyboru zmniejszyła się o pięćdziesiąt procent. Co dalej? Stałem, intensywnie myśląc. Wiem! Na pewno mamy instrukcję obsługi tego ustrojstwa. Tylko gdzie? Czy był sens pytać o to Alicję?

Zaryzykowałem.

– Gdzie jest instrukcja do ekspresu?

– Tam, gdzie wszystkie instrukcje w naszym domu – odpowiedziała bez mrugnięcia okiem.

Zrezygnowany wyciągnąłem z kieszeni telefon. Odsunąłem od ściany maszynę, próbując znaleźć napis z oznaczeniem

modelu. Kurwa, czemu zawsze robią te kable takie krótkie? Wcisnąłem rękę za lodówkę, żeby wypiąć wtyczkę z kontaktu. Obróciłem urządzenie, żeby dostać się do tabliczki znamionowej z tyłu. Dobra, mam. Wpisałem nazwę modelu w przeglądarkę, dopisałem słowo „instrukcja” i za chwilę miałem już ściągnięty cały dokument w PDF-ie. Teraz już nic mnie nie zaskoczy.

Czterdzieści sześć stron?! No chyba ich pogrzało.

Przesuwałem palcem po telefonie w poszukiwaniu interesujących mnie informacji. W końcu się udało. Znalazłem odpowiednią opcję i wcisnąłem przycisk. Nagle coś zaczęło buczeć. Zlokalizowałem źródło dźwięku. Pochodziło z końcówki odprowadzonej od przeźroczystego pojemnika. Szybko wyszukałem w instrukcji właściwy punkt. Fuck. Zapomniałem o mleku.

Naprawiłem swój błąd. Na wszelki wypadek wlałem maksymalną ilość. Dobra, lecimy dalej z tym koksem.

Już chciałem od nowa uruchomić to ustrojstwo, ale chyba jeszcze o czymś zapomniałem. Skoro miałem zrobić kawę, to przydałaby się... kawa. Na wszelki wypadek przeczytałem w instrukcji, jak napełnić kolbę, znalazłem w szufladzie łyżkę do ubijania i postąpiłem zgodnie z wytycznymi. Nacisnąłem przycisk i z dyszy w końcu popłynęła ciecz. Uśmiechnąłem się pod nosem.

Spojrzałem tryumfalnie na Alę. Usiłowała ukryć rozbawienie. Skierowałem wzrok z powrotem na ekspres i zobaczyłem, że filiżanka zaczęła się niebezpiecznie zapełniać. Nic nie wskazywało na to, że maszyna zdąży przestać pracować, zanim naczynie się przeleje.

Sięgnąłem szybko po drugą filiżankę, którą przygotowałem dla siebie, i zwinnym ruchem je podmieniłem. Chyba

wybrałem za małą. W końcu Alicja chciała podwójną kawę z dodatkową porcją mleka. Zrobiłem dopiero jedną porcję, a już zużyłem półtorej filiżanki. W czym ja miałem zrobić tę kawę? W garnku?

Analizując krok po kroku zdobytą wiedzę, z wielkim trudem, po dwudziestu minutach podszedłem do mojej żony z półlitrowym aluminiowym garnuszkiem wypełnionym gorącym napojem.

– Proszę bardzo. – Chciałem jej podać kubek, ale ona teatralnie wstała i ruszyła w stronę łazienki.

– Już nie mam ochoty na kawę. Jak chcesz, to wypij.

Zebrałem wściekły szczękę z podłogi, próbując przy okazji nie rozlać napoju. Co za jędba. Jak ja miałem ją jutro pocałować? Powstrzymałem się resztkami sił przed puszczeniem jej nieuprzejmej wiązanki i wróciłem do kuchni. Z zaciśniętymi zębami posprzątałem bajzel, który zrobiłem podczas przygotowywania jednej kawy. Włożyłem do zmywarki filiżanki i kubki, ustawiając je od najmniejszego do największego. Gdyby nie uchwyty, mógłbym je poskładać jak matrioszkę.

Nie zrażaj się porażkami, nie zrażaj się porażkami – powtarzałem w myślach, choć miałem ochotę czymś pieprznąć.